

PRECESJA

Jarek Westermark

1.

Przed duchotą sierpniowego popołudnia Iza ukryła się w bramie swojej kamienicy. Poprawiła przewieszoną przez ramię torbę, w której postukiwało nowiutkie pudełko ołówków i pastel. Była spocona. Miała obtarte wnętrza ud, a skórę przy obojczyku zaczerwienioną od paska. Westchnęła. Z gorącem dało się jeszcze żyć, ale duchota? Kiepska pogoda dla dziewczyny przy kości. No, kobiety. Ostatni fragment trasy, od skrzyżowania do kuszącej chłodem bramy, pokonała truchtem.

Mieszkała tu od lat. W budynku nie było windy, do najbliższego przystanku musiała iść piętnaście minut, a pod jej oknem zbierał się czasem chórek miejscowych Mietków, ale ani przez moment nie rozważała przeprowadzki. Dobrze czuła się w tej przestrzeni, pewnie. Czelowała jedynie jej szczegóły, wykorzystując przy tym wszystkie umiejętności cenionej projektantki wewnątrz. Ostatecznie powstało miejsce, do którego wsuwała się niczym klucz do zamka. Wypukłe tam, gdzie była wklęsła, obejmujące jej wypukłości, satysfakcjonująco uporządkowane. Bezpieczne. Odetchnęła głęboko. Spieszyła się dziś do domu nie tylko z powodu duchoty.

Po drodze z przystanku zawsze mijała niszczący kiosk, a przy nim starą żebraczkę w podobnie kiepskim stanie. Babuleńka niezmiennie miała przed sobą lichy bukiet, niby na sprzedaż, ale Iza wiedziała, że to dla pozorów, bo przechodnie i tak po prostu rzucali jej monety. Albo – najczęściej – nie rzucali nic.

Tego dnia staruszka siedziała dziwnie nieruchomo, ze spuszczoną głową. Z chwilą kiedy Iza zwróciła na to uwagę, nie mogła już pójść dalej; udawać, że wszystko jest w porządku. To jak z samotnie biegającymi psami.

Dopóki się na nich nie skupiasz, możesz sobie wmawiać, że właściciele wypuszczają je – bezmyślnie, z lenistwa – żeby się wybiegały. Ale kto raz się przejmie, jest stracony. Czekają go poszukiwania właścicieli, rozklejanie plakatów, rozmowy z Ekopatrole. Ciężar odpowiedzialności.

– Nie duszno pani? – spytała Iza i pochyliła się nad staruszką.

Sterta galganów, każdy z innej parafii, nie odpowiedziała.

– Nie gorąco? – spróbowała jeszcze raz Iza. – Czy może pani oddychać? Czy mnie pani słyszy?

Z każdym kolejnym pytaniem czuła rosnący lęk – o drugą osobę, ale i o siebie, o swój czas, swoje plany na dzisiaj – oraz poczucie winy, bo przecież najchętniej czmychnęłaby, gdzie pieprz rośnie. Wreszcie, żeby ukarać się za te niegodne myśli, zdecydowanym ruchem wyciągnęła dłoń i położyła ją na ramieniu staruszki.

Ciało pod galgankami zadygotało jak galareta, spięło się, szarpnęło w górę. Twarz, ukryta dotąd pod chustą, uniosła się do słońca, tyle że między nią a słońcem była jeszcze Iza. Iza, której ciemne włosy otaczał teraz nimb sierpniowego żaru. Oczy staruszki w pierwszym momencie wydały się zamglone, mlecznobiałe, puste. A jednak po kilku sekundach błysnęły naturalnym błękitem. Wbiły się w Izę z mocą, która zmusiła ją do zrobienia kroku w tył.

Kobieta otworzyła usta, ale wydobył się z nich tylko ochryply jęk, pierwotny zaśpiew – wyraz emocji, zbyt skondensowanych, żeby ciąć je językiem na zgłoski i sylaby. Ulica znieruchomiała, nawet czas zatrzymał się w zgęstniałym powietrzu. Wokół nie było żywej duszy, tylko świdrujący Izę spojrzeniem stosik ubrań.

Potrząsnęła głową i uciekła.

Teraz, stojąc w cieniu, robiła sobie wyrzuty. „Powinnam wrócić i sprawdzić, czy wszystko w porządku”. A jednak nie wróciła. Dziwaczne spotkanie było przecież jedynie kolejną odsłoną dziwaczego tygodnia, najpoważniejszym powodem do niepokoju o własne zdrowie psychiczne.

Uniosła zaciśniętą pięść, odetchnęła głęboko, wyprostowała pierwszy palec. Nie sposób zaprzeczyć, że od kilku dni wszystko szło po jej myśli. Autobusy podjeżdżały akurat wtedy, gdy docierała na przystanek, klienci przystawali na każdą propozycję, ciasta rosły jak marzenie, a dolegliwości – męczący kaszel alergiczny, łzawienie oczu, ból zwkniętej miesiąc wcześniej kostki – ustaly jedna po drugiej, choć nie wybrała się do żadnego specjalisty. Od kilku dni świat był dla Izy zaskakująco uprzejmy. Tak nagła zmiana wzbudziła jej niepokój. Ale niepokój to jeszcze nic złego.

Odgięła drugi palec. Ptaki. Poprzedniego dnia rano, tuż po obudzeniu, na zewnętrznym parapecie okna zobaczyła stadko gołębi. Balkon obsiadła zbieranina wróbli, wron i kawek. Żaden ptak nie drgnął, kiedy powoli podniosła się z łóżka i przeszła do salonu. Obserwowały ją nieruchomo, a potem wszystkie – jednocześnie – schyliły głowy i rozsunęły skrzydła na tyle, na ile pozwalał im panujący tłok. Iza, wiedziona odruchem, niepewna, czy przypadkiem wciąż jeszcze nie śpi, skinęła głową, odpowiadając na pozdrowienie. Dopiero wtedy jedność stada pękła i ptaki rozpierzchły się z furkotem.

Trzeci palec. Plac budowy między jej kamienicą a przystankiem. Rozryte płyty chodnikowe, wszędzie piach, żwir i beton. Bajora brunatnej brei, pozostałości ulewy sprzed tygodnia nagrzanę słońcem: pierwotna zupa w samym środku miasta. Iza nie znosiła tamtędy chodzić, ale zwykle wypadła z mieszkania w pośpiechu i nie miała wyboru. Tak jak dzisiaj rano. Zdała się na los i popędziła przed siebie. Tym razem miała jednak wrażenie, że kamienie i płyty same unoszą się, łączą i podsuwają, żeby chronić ją przed upadkiem. Była w takim szoku, że z rozpedu przebiegła przez najgłębsze, najciemniejsze bajoro. Dwa kroki – i była po drugiej stronie. Ale buty miała suche. Myślała o tym potem, jadąc autobusem, który oczywiście pojawił się, gdy tylko dotarła na przystanek.

Czwarty palec: kwiaty. Po domykającym najnowszy projekt spotkaniu, na którym zwykle burkliwy klient wyrażał się o niej w samych superlatywach, postanowiła odwiedzić kwiaciarnię. Marzył jej się fioletowo-żółty bukiet, który doskonale pasowałby do bieli i szarości mieszkania.

Weszła do budki z kwiatami, gdzie gigantyczne wazony pełne barw zajmowały niemal każdy centymetr wilgotnej przestrzeni. Kwiaciarka chciała pogadać. Sukces w pracy sprawił Izę w doskonały nastrój, więc z uśmiechem wysłuchiwała historii o kliencie, który codziennie przychodzi po jedną różę, o przestojach w branży, nawet o nowym nawozie do kwiatów, który przynosi naprawdę rewelacyjne efekty. Słuchała, aż uświadomiła sobie, że poza głosem rozmówczyni słyszy coś jeszcze: dochodzący ze wszystkich stron skórzasty szelest, delikatny syk ocierających się o siebie liści, lodyg, płatków. Rozejrzała się, a kiedy tylko zrozumiała, co widzi, skoczyła do drzwi i wypadła z powrotem w ukrop.

Pamiętała z podstawówki, że słoneczniki śledzą wędrówkę słońca po niebie, ale ich ruchy są właściwie niezauważalne. Więc jak to możliwe, że wszystkie rośliny w kwiaciarni skierowały się właśnie na nią? Musiały być tak ustawione już wcześniej. Proste, mówiła sobie. Proste. A jednak: czwar-

ty palec. No i piąty – to staruszka, przed którą Iza ledwie kwadrans później uciekła w cień bramy...

Czekała, aż uspokoi jej się oddech. Zaprażyła zadzwonić do kogoś, podzielić się niepokojem. Ale do kogo? Do rodziców? Parsknęła pod nosem. Wspaniały sposób, żeby odnowić kontakt: „Wicie, co u mnie? Oszałam?”. Odpada.

Wspinając się już po schodach, pomyślała, żeby zapukać do Karoliny. Karolina mieszkała piętro niżej i – zdaniem Izy – nieustannie potrzebowała pomocy, choć przychodziła po nią tylko wtedy, kiedy jej chłopak miał akurat słabszy dzień. Tak się poznały. Karolina zapukała do Izy z ręką na żebrach i łzami w oczach i powiedziała: „Mój Aluś ma słaby dzień, mogę się wprosić na herbatę?”.

Raz otwartych oczu nie dało się zamknąć, więc problemy sąsiadki szybko stały się również jej problemami. Miesiąc po miesiącu, herbatka po herbatce, krok po kroku zaprzyjaźniły się, a przynajmniej lepiej się poznały. Teraz Iza mogłaby wyciągnąć z tego coś dla siebie.

Z mieszkania Karoliny dochodził niewyraźny, choć wyraźnie zirytowany męski głos. Iza podeszła do drzwi, uniosła dłoń, wahała się przez moment, po czym zapukała tuż poniżej śladu po kredowych literach K+M+B.

– Chwileczkę! – zawołała ze środka Karolina.

Aluś, bo to na pewno był on, burknął coś, czego Iza nie dosłyszała. Drzwi uchylily się na kilkanaście centymetrów, a w szparze błysnęły złote kosmyki włosów i ciemne oko.

– A, to ty... – rzuciła Karolina i otworzyła odrobinę szerzej. – Coś się stało?

Była w szlafroku. Miała podkrążone oczy. W tle płakało dziecko.

Iza spojrziała na nią i uśmiechnęła się ciepło.

– Nie, nic. Tak tylko wpadłam sprawdzić, co i jak.

– Za bardzo hałasujemy? – zmartwiła się Karolina. – Myślisz, że ktoś znowu wezwie policję?

– Nie wiem, dopiero przyszedłam. – Nachyliła się bliżej i zerknęła w głąb mieszkania. – A chcesz, żeby...?

– Nie, nie, nie. Jest OK. Jest dobrze. Dzięki, Izka.

Kiwnęła głową, posyłając Karolinie kolejny z długiej serii wspierających uśmiechów.

– Jakby co, jestem u siebie.

– Dzięki, kochana.

Drzwi zamknęły się z cichym szcęknięciem, a Iza oparła się plecami o ścianę. Było blisko, ale dobrze, że się nie zlamala. Karolina ma przecież

dość własnych problemów: w domu patowa patologia i zero pomocy od rodziny. Przynajmniej z tym ostatnim Iza mogła się w pełni solidaryzować. Jeśli chodzi o związki, brakowało jej doświadczenia.

Weszła po schodach na kolejne piętro. Mieszkania były tu dwa: jej własne i Radka. No właśnie. Teoretycznie miała pod nosem całkiem przystojnego gościa. Gościa, który raz, gdy wpadli na siebie na schodach, popatrzył na nią tak, jakby chciał zaprosić ją na kawę. Niby nic nie powiedział, ale patrzył z wielkim zainteresowaniem. Długo. Łapczywie. Aż poczuła mrowienie w brzuchu.

Potrząsnęła głową na to wspomnienie. Ile masz lat, dziewczyno? Koleś sporo młodszy od ciebie, burkliwy, słowem się później nie odezwał, nie zrobił żadnego ruchu... a do tego jest, zdaje się, bezrobotny, jedzie na zasiłku. Właściwie to całe szczęście, że nigdzie cię nie zaprosił.

Minęła jego drzwi i otworzyła swoje, na których trzy białe litery wciąż były jasne i czytelne. Weszła, z ulgą zdjęła buty i spódnicę, została w samej lekko przepoconej bluzce. Włączyła wiatrak, nędzny zamiennik klimatyzacji, i stanęła przed nim, czekając, aż ruch rozgrzanego powietrza choć odrobinę ją orzeźwi. Z satysfakcją rozejrzała się po mieszkaniu. Ściany w złamanej bieli, meble szare lub w naturalnym drewnie i małe, modne lampki na magnetycznych szynach. Nawet artystyczny nieład na stoliku – porozrzucane kartki z wykonanymi ręcznie trójwymiarowymi szkicami mieszkań, które aranżowała – zdawał się częścią przemyślanej wizji. Jej dom. Jej miejsce w świecie.

W sypialni na ścianach wisiały co prawda niezbyt szykowne, oprawione puzzle po dwa tysiące elementów, przedstawiające łąki i miasta, ale po pierwsze – do sypialni nikt poza nią nie wchodził, a po drugie – stanowiły namacalny dowód jej uporu i od czasu do czasu lubiła na nie popatrzeć, szczególnie gdy była zestresowana. Stres. Stąd to wszystko. Z przepracowania. Pożałowała, że wybiegła z kwaciarni bez bukietu. Płama koloru naprawdę ożywiłaby wnętrze. Może następnym razem.

Odsunęła się od wiatraka i poszła do łazienki. Wyszła przebrana w wygodne dresowe spodnie i luźny, sprany T-shirt, udała się do kuchni zrobić sobie kawę i dopiero wtedy – wreszcie – odważyła się wyjść na balkon.

Ptaków nie było. Wypuściła powietrze z płuc. Przysunęła się do balustrady i spojrzała w dół, w głąb studni, na podwórko. A tam, na rzadkiej trawie, ktoś stał. Siwe włosy, głowa uniesiona, spojrzenie wbite w jej okno.

Cofnęła się gwałtownie. Na wszelki wypadek sprawdziła, czy drzwi na klatkę są zamknięte, a potem chwyciła kubek z kawą i uciekła do sypialni,

gdzie zakopała się pod prześcieradłem i włączyła IPada. Nie, nie, nie. Nie ma sensu o tym myśleć. Trzeba zająć się czymś innym. Zaczęła nerwowo przeglądać wieści ze świata, ale były wyłącznie ponure: wymieranie gatunków, braki wody, katastrofa klimatyczna. Jak długo jeszcze skazanej na zagładę ludzkości potrzebne będą projektantki wnętrz? Uśmiechnęła się krzywo.

Ekran zgasł. Przesunęła po nim palcem, a potem wyszukała kciukiem przycisk blokady. Nic. Uniosła wzrok. Najwyraźniej czytała dłużej, niż jej się zdawało, bo w sypialni zdążył zapanować półmrok. Przez okno wpadały do środka czerwone promienie zachodzącego gdzieś bardzo daleko słońca. Przyniosła sobie kubek do ust. Spodziewała się tam najwyższej wychłodzonej resztki, ale nie, gorący płyn sparzył jej wargi. Zapragnęła podejść do okna i wyrzucić na drugą stronę kamienicy, zobaczyć odległe centrum miasta, ale ciało niespodziewanie odmówiło jej posłuszeństwa. iPad wypadł jej z dłoni, a kubek potoczył się po prześcieradle, zostawiając ohydne, brązowe plamy.

Pokój zadrżał. Dom zadrżał. Świat. Oprawione puzzle runęły ze ścian, na łóżko posypał się tynk w kolorze przelamanej bieli. Iza skuliła się pod prześcieradłem, przerażona, że ślepnie, ale nie, to światło zza okna i z salonu przygasło, jakby całe niebo zasloniła nagle kurtyna chmur. Łóżko dygotało, ze wszystkich stron dochodziły trzaski i dudnienie, kamienica mogła zawalić się w każdej chwili, po czym: cisza.

Wszystko ustało, a zza okna padł na skuloną Izę pojedynczy promień złocistego blasku. Szyba stopiła się pod jego dotknięciem, szkło spłynęło na podłogę, ale Iza tego nie zauważyła, bo promień przestał być promieniem, stał się potężną, chociaż niewyraźną sylwetką, a sylwetka wyciągnęła dłoń i odezwała się złotym głosem:

– Bądź pozdrowiona, pełna łaski, Pan z tobą, błogosławiona jesteś między niewiastami.

2.

Gdy tydzień później Karolina wyszła z mieszkania, nie chodziło jej tylko o to, żeby się wyplakać. Nie zamierzała po raz kolejny ukrywać się u Izy przed Alusiem. A już na pewno nie chodziło wyłącznie o szansę na spędzenie dłuższej chwili w mieszkaniu jak z katalogu, gdzie nawet powietrze było stylowe i wysokiej klasy, „o ile Iza nie przesadziła z waniliową świecą”. Uśmiechnęła się, ale tylko na chwilę, bo myśl wydała jej się skrajnie niewdzięczna.

Wyszła nie tylko z powodu Alusia, który zresztą ostatnio zachowywał się naprawdę nie najgorzej. Wciąż siedział ze wzrokiem wbitym w telewizor, zamiast piwa chłonąc strumień wiadomości o nagłych skokach temperatury, kolejnych trzęsieniach ziemi czy obserwowanych od kilku dni zmianach natężenia pola magnetycznego planety.

„Jakieś szaleństwo się dzieje z tym światem”, powiedziała, a on zamiast nazwać ją debilem, skinął głową. Czyli był w dobrym nastroju. Poczula, że wypełnia ją duma, choć zaraz zrobiło jej się z tego powodu głupio. Iza powtarzała, że nie wolno „stawać słupka, bo jaśniepan pogladził po głowie”. Słupka. Jak pies. Iza za nic nie chciała przyjąć do wiadomości, że Aluś potrafił być czasem naprawdę delikatny i czuły.

A teraz gdzieś ją wciąło. Od dawna nie pojawiała się ani na klatce, ani na podwórku, ani w kiosku czy sklepie. Przecież powiedziała, gdyby zamierzała wyjechać na urlop. Może się obraziła? Nie miała powodu, ale bywa różnie. Nieprzegadane nieporozumienie mogło oznaczać koniec znajomości z silną, odnoszącą sukcesy, chętną do pomocy koleżanką. A przy okazji koniec wizyt w stylowym wnętrzu i kawy z prawdziwego ekspresu. Karolina weszła więc po schodach na piętro nie po to, żeby narzekać czy szukać pomocy, ale żeby zobaczyć, co z Izą, a w razie czego przeprosić, za co tylko będzie trzeba.

Zapukała.

– Puk, puk, puk! – dodała po chwili.

Powietrze było rozgrzane i suche. Przysunęła ucho do drzwi. Wydawało jej się, że słyszy cichy chrobot, jakby wypełniający drewno szept, a może odgłos sunącej po drugiej stronie stonogi. Uśmiechnęła się na to skojarzenie, ale zaraz odskoczyła, bo klucz szczęknął w zamku i w otwartych drzwiach pojawiła się Iza.

Coś było z nią bardzo nie w porządku. Coś tak istotnego, że Karolina nie była w stanie sobie uzmysłowić, co. Iza rzucała rozbiegane spojrzenia to na nią, to za nią, to wokół. Miała na sobie luźne, zlachane ciuchy. Przetłuszczone włosy kleiły jej się do czoła.

– Cześć – zaczęła z nieco przesadnym uśmiechem Karolina. – Chciałam powiedzieć... To znaczy, wiesz, długo nie gadałyśmy, tak? No i się zmartwiłam.

– Długo?

– No, już tydzień.

– Straciłam poczucie czasu. Ale rzeczywiście. Był siedem razy.

– Kto taki? – podchwyciła Karolina. – Czyżby jakiś facet? Mogę wejść?

Iza cofnęła się. Oczy miała przekrwione, błyszczące.

– Może lepiej nie.

– Coś ci jest?

– Nie wiem, czy powinnaś ze mną rozmawiać.

Chyba jednak nie była obrażona. Raczej przerażona. To lepiej.

– Słuchaj, pomagałaś mi już tyle razy... Zawsze mogłam na ciebie liczyć. Teraz moja kolej. Ciągłe powtarzasz, że nie jestem sama. No więc ty też nie jesteś. Nie musisz być. Wpuść mnie.

Iza przez dłuższą chwilę lustrowała ją wzrokiem, jakby ważąc w głowie różne możliwości. W końcu zrobiła zapraszający gest. Karolina postawiła krok i lekko poślizgnęła się na rozrzuconych po podłodze papierach. Spojrzała pod nogi. Rzuty mieszkań, projekty mebli, wszystko nakreślone w charakterystyczny dla Izy szczegółowy sposób. Ale jeszcze coś.

– Pomalowałaś podłogę?

Iza nie odpowiedziała. Ruszyła w stronę kuchni.

Nie, to nie farba. Deski pokrywała cienka warstwa drobnego piasku.

Karolina podniosła wzrok i zdała sobie sprawę, jaki bałagan panuje w mieszkaniu. Gdyby była u siebie, powiedziałyby: niezły burdel. Ubrania i sprzęty porozrzucane, w kuchni sterta garnków. Okna zaklejono gazetami, świeciły wszystkie lampy. Było tu jeszcze goręcej niż na klatce.

– Izka, co się stało? Miałas włamanie? Wezwać kogoś?

– Nie! – szarpnęła się Iza. – To moja sprawa. Nie potrzebuję pomocy. Ale dobrze, że jesteś. Poczekasz razem ze mną. Potwierdzisz, czy...

Zamilkła.

– Czy co?

– Nieważne. Czy mi nie odbiło. Nieważne. Pytałaś, kto przychodził. Proszę, spójrz. O, tutaj.

Wsunęła się do sypialni, gdzie stał teraz stolik z salonu. Był zawalony papierami. Wyszarpnęła jedną kartkę i podetknęła koleżance pod nos szkie... czegoś.

– Jezus Maria – wyrwało się Karolinie. – To żart? Robisz sobie ze mnie jaja? Mówiłaś o tym komuś?

– Nie. Przysięgnij, że też nic nie piśniesz. Przysięgnij. Zawsze słuchałam twoich historii. Ani razu nie wezwałam policji, bo mnie błagałaś. Jak sama mówisz, twoja kolej. Przysięgnij. No!

– Przysięgam, przysięgam! – Szkic, który wylądował na łóżku, przyciągał jej wzrok, choć wcale nie chciała na niego patrzeć. – Izka, ale nie zaczęłaś pić?

– Przychodzi do mnie co wieczór. Mniej więcej o szóstej. Zostało jeszcze trochę czasu. Poczekasz ze mną, to go zobaczysz. Jest cały z blasku,

ale to namacalny blask, skryzalizowany, wiesz? Raczej bursztyń niż miód. Symetryczny jak mandala, rozwijający się, nieskończenie złożony. Dlatego wierzę, że jest tym, kim jest, a jednak...

Szkic zadrzał, choć powietrze było nieruchome.

– Chcesz powiedzieć, że widziałaś anioła, tak?

Iza się wzdrygnęła.

– Tak – przyznała po chwili. – Tak, tak, tak. Zgadza się. Nie wierzysz mi. Oczywiście, że nie. Ale spójrz pod nogi! Widzisz? To piasek, który przyniósł na stopach!

– Wygląda jak z placu budowy.

– Bzdura, tamten ma zupełnie inny odcień. Tam khaki, tu écru. No i były jeszcze ptaszyska. I ta kobieta.

– Zaraz, jaka kobieta?

– Staruszka, której dotknęłam. Chyba odzyskała wzrok.

– Uzdrowiłaś kogoś? – Karolina zrobiła niewielki krok w tył, w stronę wyjścia z mieszkania.

– Nie wiem. Ale od tego czasu całymi dniami wystaje mi pod oknem. Na podwórku. Nie powiesz, że jej, kurwa, nie widziałaś! Wyjrzyj przez okno balkonowe. Na pewno tam jest. No? Co tak stoisz? Dawaj!

Karolina sztywno podeszła do okna i odciągnęła zasłony.

– Rzeczywiście, widzę kogoś.

– No i? Nie widziałaś jej wcześniej? Sterczy tam od... od tygodnia, tak?

– Nie zwróciłam uwagi.

Iza złapała ją za rękaw i wciągnęła z powrotem do sypialni. Wskoczyła na łóżko i wskazała palcem na podłogę.

– A tu? Szyba rozplynęła się i zastygła. Widzisz?

Ale Karolina wcale nie patrzyła na dziwną, burą plamę. Patrzyła na Izę, która przed chwilą wybiła się z jednej nogi i wylądowała miękko na materacu, skulona jak pająk. W tym momencie Karolina zdała sobie sprawę z niewytłumaczalnej metamorfozy koleżanki.

– Iza. Ty jesteś chuda!

Przekrwione oczy zamruwały nerwowo.

– Słyszałaś, co mówię? Stopione szkło!

Słyszała, oczywiście. Ale wystarczająco często zmagala się z kaprysammi własnego metabolizmu, by mieć pewność, że – w przeciwieństwie do staruszki pod oknem czy piasku w mieszkaniu – utrata połowy masy ciała w tydzień jest rzeczą absolutnie niemożliwą. Tu nie wystarczyłaby żadna dieta-cud. Potrzebny był najprawdziwszy...

– Cud.

Znów przeniosła spojrzenie na kartkę ze szkicem. Naprawdę wyglądał, jakby się poruszał. Przecież cuda się zdarzają. W Radiu Maryja czasem – szczególnie nocą – można usłyszeć świadectwa osób, które doświadczyły Boskiej obecności. Widziały blask wokół hostii albo oczy zaczynały im świecić podczas spowiedzi. Aluś się z tego śmiał, a Karolina mu wtórowała, ale w głębi serca nosiła przecież nadzieję. Że wszystko jest możliwe. Że jej los kiedyś się odmieni. Że anioły istnieją.

– Mówisz, że przyszedł do ciebie siedem razy? – spytała, siadając na łóżku. – Jak myślisz, czego chciał?

– Nie muszę myśleć. – odparła Iza. – Wiem. – Zaczęła gryźć paznokieć. – Wiem, czego chciał. „Nie bój się, Izabelo, znalazłaś bowiem łaskę u Boga. Poczniez i porodzisz syna”.

– Zaraz... Tak jak...?

– Owszem, kurwa, nie inaczej, idiotko!

Karolina drgnęła. Sama nigdy nie przeklinała, bo uważała, że kobiecie nie wypada. A Iza zabrzmiała zupełnie jak Aluś.

– A ty co? – spytała, tłumiąc łzy.

– Nic. Nic nie odpowiedziałam. A on czekał. Poczekał, poczekał, aż zniknął. Przez następne dni przychodził i to samo. Mówił swoje, a ja się nie odzywałam. Nie powiedziałam „nie”. Nie powiedziałam „tak”.

– Dlaczego?

– Bo nic się nie zgadza! – wybuchnęła Iza. – Moi starzy... zimni jak lód, przez których nie miałam dzieciństwa, przez których ledwie umiałam nawiązać rozmowę, przez których... przez których tyle rzeczy mi nie wyszło... posłali mnie do liceum do Nazaretanek. A tam dzień w dzień kładziono nam Biblię do głowy, wciskano przez uszy, więc jeśli wiem w tym zaszranym życiu cokolwiek, to że paruzja, gdy już nastąpi, będzie wyglądać zupełnie inaczej niż dziewicze poczęcie.

– Paruzja?

– Drugie przyjście! Ponowne przyjście Jezusa na Ziemię! „Byłem umarły, a oto jestem żyjący na wieki wieków i mam klucze śmierci i Otchłani”.

– Umilkła. Po dłuższej chwili odezwała się cichym, zmęczonym głosem:

– Zbawiciel powinien przybyć w wiecznej chwale. Więc skąd ta powtórka? Czemu dzieje mi się to samo co jej? W końcu zapytałam. Domagałam się odpowiedzi, ale on nie reagował, jakby potrafił tylko powtarzać wciąż to samo, jak zacięta płyta, nakręcana zabawka. A ja chcę tylko wiedzieć, co się dzieje. Chcę mieć pewność, że mogę mu zaufać. Czy to zbyt wiele?

Łóżko zadygotało. Chyba. Karolina nie była pewna. Iza mamrotała teraz tak cicho, że musiała przysunąć ucho do jej zapadłej twarzy.

– Powtarza wciąż to samo, ale nie zawsze tym samym głosem. Ostatnio powitał mnie głosem ojca. Błąd, błąd, błąd. Tym bardziej postanowiłam, że nie drgnę, póki nie doczekam się wyjaśnienia.

Teraz Karolina była już pewna, że łóżko się zatrzęsło. A może i ściany. Która godzina? Trudno powiedzieć w półmroku zaklejonych okien. Poczula mrowienie w całym ciele, przypływ ekscytacji. Z całej siły pragnęła wierzyć, że to wszystko prawda. Była gotowa dostąpić cudu. Stanąć z Izą ramię w ramię i poczuć Boską miłość. Dlaczego jednak przyjaciółka się opiera? Dlaczego chce wszystko zepsuć?

– Izka, słuchaj – powiedziała Karolina, z trudem powstrzymując emocje. – Musisz się zgodzić. No co? Nie patrz tak na mnie! Jeśli jest jak mówisz, jeśli to rzeczywiście anioł, to przecież nie ma wyboru. To najlepsza rzecz na świecie. Nieważne, co czytałaś... ważne, co tu i teraz! Bóg ma dla ciebie plan. Ma plan dla nas obu. Bo... ja też coś czuję, odkąd przyszłam, wiesz? Jakąś wielką moc, o tu, w sercu. Naprawdę! Mówiłaś, że nie chcesz pomocy, ale chyba jednak ci się przyda. Dlatego tu jestem. Poczekał razem z tobą, aż znów się pojawi, a wtedy zobaczy nas obie i zgodzimy się razem. Będę przy tobie. Zgódź się, Izka, dobra?

Iza wstała powoli.

– Namawiasz mnie. Jak te ptaki.

– Jak co?

– Najpierw tylko przelatywały, ale potem zaczęły powtarzać, że nie ma wyboru. Zakleiliśmy okna, ale wciąż je słyszę. A teraz ty.

– Izka, błagam cię! Przecież tu chodzi o... – zająknęła się, ale w sukurs przyszły jej słowa któregoś z radiomaryjnych księży. – Tu chodzi o ojca nas wszystkich! O pana zastępów! Mój los... znaczy twój... nasz los może się...

Iza wybuchnęła śmiechem. Nachyliła się nad Karoliną, wbila w nią spojrzenie pełne odrazy. Z bliska widać było, że skórę ma cienką, półprzezroczystą, że pod spodem tłoczą się tłuste robaki żył. Z ust Izy popłynął jad:

– Nie wiem, czego się spodziewałam, ty głupia krowo. Słuchałaś, co mówię? Gdzie tam. Przeraziłaś się i natychmiast położyłaś do góry brzuchem. I jeszcze chcesz mnie ściągnąć do swojego poziomu. Żalosne!

– Przestań, wcale tak nie myślisz.

– Jasne, że myślę. Od zawsze. Ile razy ci mówiłam, żebyś rzuciła tego skurwiela, bo cię leje, przecież to banal, ale trzymasz się go kurczowo, bo znosi fakt, że masz bachora po innym skurwielu. Brawo, brawo, brawo!

Iza sama była teraz jak anioł zemsty, rozciągnięta niemal do sufitu, a sufit trząsał się nad nią, a zza zalepionego gazetą okna sączył się złowieszczy, bursztynowy blask.

– Jasne, że jesteś gotowa klęknąć i zgodzić się na wszystko! Nie umiesz robić nic innego!

Łez nie dało się już powstrzymać.

– Tak, wiem – załkała Karolina. – Jestem kundlem. Bezdomnym psem, którego zauważyłaś i teraz ci głupio. Ty... miłosierna... niewydymko!

– Spieprzaj stąd! – wrzasnęła Iza. – Wynoś się, zanim przyjdzie! Idź!

Karolina rzuciła się do drzwi, choć zapiaszczona podłoga uciekała jej spod nóg, choć powykrzywiane ściany pochylały się nad nią, choć blask zza okna oślepiał ją, rozszczepiony w pryzmacie łez. Wybiegła na klatkę i zatrzasnęła za sobą drzwi.

3.

Treść maila nie pozostawiała wątpliwości. Kolejny liczący się serwis internetowy odrzucił rewelacyjny artykuł Radka. I to w jakim stylu! Z „witam” na początku i „pozdrowienia” na końcu, absolutne zero profesjonalizmu, zero poważnego traktowania. Oddelegowali do pisania odmów pierwszą lepszą asystentkę praktykantki, a może praktykantkę-asystentkę, wszystko jedno. Tak czy owak: potwarz. Potwarz przez internet.

Radek już dawno postanowił, że to właśnie sieć stanie się kluczem do jego sukcesu. Rok temu, kiedy wyprowadził się z domu i postanowił oprzeć swoją karierę na *life coachingu*, zaczął zamieszczać na YouTube filmy motywujące innych do wykorzystywania wewnętrznego potencjału. Niestety, szybko zorientował się, że cała masa miernot wpadła na ten sam pomysł, a kolejne rzesze wpadają na niego codziennie, przez co internet pęka w szwach od ich bezwartościowego belkotu. Dlatego rozszerzył działalność i teraz mówił o sobie: *life coach/social media strategist/search evaluator*. Do tego był niezależnym dziennikarzem i truthfinderem (ten termin chciał spopularyzować): dokopywał się do niewygodnych prawd i sprzedawał swoje odkrycia serwisom informacyjnym.

Dostrzegł dla siebie wielką szansę w nasilających się od dwóch tygodni anomaliiach pogodowych i magnetycznych. Ewidentnie działo się coś dziwnego. Wiedział, że prawdziwą przyczynę czerwonych deszczy, piekielnych upałów, nietypowych migracji zwierząt, awarii elektrowni i podobnych niespodzianek odkryje w końcu ktoś mądrzejszy od niego... no, nie tyle mądrzejszy, ile dysponujący większymi środkami... ale na razie każda

teoria byłaby na wagę złota. Pod warunkiem, że da się ją odpowiednio sprzedać. On, Radek, był pewien, że zdoła to zrobić, gdyż swój własny wewnętrzny potencjał rozbudzał umiejętnie i regularnie. Zakasał rękawy i wziął się za research.

Najczęściej powtarzały się wzmianki o nadchodzącym, subtelnym przebiegunowaniu Ziemi. Naukowcy uspokajali, że oznacza ono co najwyżej drobne zmiany w natężeniu pola magnetycznego, więc nie ma się czego bać. Radek postanowił jednak kopać dalej i w końcu trafił na nieoszlifowany diament połyskujący w kazamatach głębokiej sieci.

Otóż wedle kilku znaczących, ale uciszanych przez mainstreamowe media autorytetów, elektromagnetyczne anomalie wcale nie były spowodowane zmianą biegunów Ziemi. Gorzej. Zmieniać zaczęła się precesja planety, czyli okrężny ruch jej osi. Wystarczyłoby drobne wahnięcie, by po ludzkości została mokra plama.

„Oś świata się odchyła”, zaczął swój artykuł Radek. „Co więcej, proces ten postępuje w przerażającym tempie! Mówimy o latach. A może i miesiącach. Przyczyna jest nieznana, ale skutkiem zmian może być drastyczne przesunięcie stref klimatycznych, zmiana położenia bieguna i równika”. Powołał się na uznanych w pewnych kręgach naukowców oraz tezy anonimowych mędrców z forów dyskusyjnych, którym wspaniałomyślnie przydał kilka tytułów doktorskich. Rozesłał swoje arcydzieło w świat i czekał, aż serwisy zaczną bić się o prawo do publikacji.

A teraz siedział skulony w fotelu ze wzrokiem wlepionym w lodowaty ekran z żalonym „witam”, „pozdrowienia” oraz lakonicznym „wybacz, Radku, ale żebyśmy wzięli coś z niezależnego źródła, to by musiała być prawdziwa petarda” pomiędzy nimi.

Wstał od komputera i podszedł do okna. Na parapecie leżała warstwa topniejącego gradu po gwałtownej nawałnicy, ale niebo było w miarę puste. Sunęły po nim pojedyncze chmury ciągnące za sobą ciemne macki deszczu. Wyglądały jak gigantyczne meduzy. Petarda, taka ich mać! Rozważył nagranie vloga o bezmózgich pracownikach serwisów informacyjnych. Ale nie. Negatywny kontent łatwo się rozchodzi, tylko że na dłuższą metę nie prowadzi do poszerzenia grona odbiorców. Chyba że by zająć się krytyką filmową, a tak nisko upaść Radek nie był gotów. Czy to jego wina, że żyje w kraju, gdzie nic się nie dzieje? W nudnym mieście? W kamienicy, w której... Chwila!

Przerwał ciąg ponurych myśli i zmarszczył brwi. Przez ostatnie dwa tygodnie tak się skupił na precesji, że o mało nie zmarnował może jeszcze lepszego tematu: paruzji. Właśnie o niej terkotała niedawno ta tępa dzida

z piętra niżej, oczywiście na klatce, żeby nikomu w kamienicy nie umknęło ani jedno słówko. Paruzja. Termin, który pasuje do tej idiotki jak pięść do nosa, w jej ustach był tak nie na miejscu, że zwrócił uwagę Radka, ale jego mózg ostrożnie wsunął go do szufladki „na później”, bo miał inne rzeczy do zrobienia. I „później” właśnie nadeszło, stało się nagle „teraz”.

Drugie przyjście zbawiciela. Apokalipsa, koniec świata. No nieźle. Może niepotrzebnie podszedł do tematu zachwiania osi Ziemi od strony naukowej. Jeśli subtelnie przerobi tekst, doda garść nawiązań biblijnych i tak dalej, sprzeda go całej rzeszy głodnych sensacji odbiorców. Szkoda tylko, że nie będzie to rzesza, na której mu zależało.

Co konkretnie mówiła ta blondzia... Alina czy Karolina? Że widziała się z grubą Izką i że gruba Izka jest chuda, ale jej odpierdoliło i nie wychodzi z mieszkania. Coś o aniołach. Może to nic, ale może coś. Nie zawadzi zasięgnąć informacji u źródła. Prawdziwi dziennikarze nigdy się nie poddają.

Radek wziął telefon i wyszedł na klatkę. Odruchowo zasłonił nos. Najwyraźniej ktoś znów wystawił przed drzwi mieszkania worek ze śmieciami z zamiarem wyniesienia go jutro, czyli nigdy. I to latem! Takich ludzi powinno się zrzucić z dachu albo...

Było cicho. O wiele za cicho jak na – sprawdził w telefonie – niedzielne popołudnie. Gnoje powinny trzaskać drzwiami, baby je za to opierdalać, a pijany Aleks powinien tłuc się już po mieszkaniu. A jednak nic. Tylko suche, nieruchome powietrze. Tylko ten smród.

Radek podszedł do barierki przy schodach i spojrzął w dół. Zobaczył na półpiętrze trzy skulone sylwetki. Nie rozpoznał żadnej twarzy. Kobiety klęczały z różańcami w dłoniach w absolutnym milczeniu. Powoli, jakby miał do czynienia ze stadem łatwych do spłoszenia ptaków, uniósł telefon i zrobił im zdjęcie. Potem cofnął się w głąb korytarza, aż znalazł się przy drzwiach mieszkania Izy. Znów uniósł aparat. Liter K+M+B prawie nie było już widać. Tonęły w morzu krzyży i różnych inskrypcji; w splocie słów pisanych kredą i czarnym markerem. Cytaty z Biblii, przekleństwa, prośby. Cyk, cyk, cyk, zdjęcie za zdjęciem. Co tu się działo, kiedy siedział z głową w internetach? Jak mógł aż tyle przegapić?

Zapukał. Cisza. Rozejrzył się po pustej klatce.

W zasadzie nie musiał już teraz rozmawiać z Izą. Mógł zejść na półpiętro, do skulonych cieni. Mógł uśmiechnąć się słodko do panienci Paruzji i wyciągnąć z niej jakieś wstrząsające wyznanie. Tajemnica zawsze działa mocniej niż fakt, teoria mocniej niż prawda. W zasadzie lepiej nie wiedzieć. Bo co może czekać na niego za drzwiami mieszkania Izy? W najlepszym

razie psychoza, a w najgorszym: banal. Odwrócił się. Ale ten zapach. Odwrócił się z powrotem. Znów zapukał. A potem, żeby móc sobie powiedzieć, że nie odpuścił, nacisnął klamkę i pchnął.

Piach w oczach. Smród wszelkich ludzkich nieczystości. Podmuch pustyni. Płomienie nad nim, pod nim, żar. Stracił czucie w nogach, w jednej chwili przestał być sobą, był nikim. Padł na kolana. Fala uderzeniowa. Rozszczepiony atom. Mieszkania nie było. Przesypujące się wydmy białego piasku, wędrujące z prędkością oceanicznych fal. A na największej wydmie, za resztką stopionej ściany, pod wyrwą, z której bił rudy blask – skulona postać, czarna jak smoła.

Kłęczący człowiek zmrużył oczy, żeby się przyjrzeć. Nie, jej skóra nie była czarna. Skóry właściwie nie było już widać. Tylko zaschnięta krew, strupy, na w pół zaleczone rany obok świeżych cięć i pęknięć. Postać wijąca się z bólu na piasku, postać w agonii. Osmalony szkielet.

– Nie – wyjęczał szkielet. – Nie, dopóki nie powiesz więcej.

Podmuch pustyni. Żar.

– Nie – powtórzył szkielet. – Jak długo męczylesz tamtą, zanim się zgodziła?

Kłęczący człowiek szerzej otworzył oczy, nie bacząc na piach, na wichurę. Z wyrwy w świetle, która ziała nad szkieletem, wysunęła się bryła blasku jaśniejszego niż blask. Bryła przygasła, jakby ruch ją urzeczywistnił, zmateralizował. Dało się dostrzec kształt, formę, niemal ciało. Dało się usłyszeć głos.

Szkielet zwinął się z bólu. Szkielet zostawił na piasku bure plamy. Szkielet uniósł głowę na cieniutkiej szyi. Wysunął brodę. I odpowiedział:

– Nie, bo nie.

Po tych słowach kłęczący człowiek zdał sobie sprawę, co widzi, przypomniał sobie, kim jest, i pojął, co to oznacza.

Uniósł do oczu telefon i szepnął:

– Petarda.

4.

Na ścianie izolatki wisiał telewizor. Iza nie widziała go wyraźnie, bo oddzielała ją od niego płachta mętnego plastiku. Plastik otaczał Izę ze wszystkich stron, na wszelki wypadek izolując ją od świata, w czasie gdy lekarze usiłowali stwierdzić, czym mogłaby ten świat zarazić.

Egzystowała poza czasem. Lekarze podłączyli ją do pikających maszyn i wpompowali w jej ciało całą świętą chemię, jaką dysponowali, a jednak

wciąż towarzyszył jej wszechogarniający ból. Próbowala o nim zapomnieć, skupić wzrok na ekranie, ale widziała tylko niewyraźne kształty. Za to słyszała każde słowo.

„...z wielu miejsc na świecie docierają do nas doniesienia o fenomenie, który określić można jedynie mianem «deszczu krwi». Nie przesłyszeli się państwo, mamy potwierdzenia od lekarzy z Uniwersytetu Kalifornijskiego w Los Angeles, jak i z Indyjskiego Instytutu Nauk Medycznych w Nowym Delhi, gdzie przebadano zebrane próbki i ponad wszelką wątpliwość stwierdzono...”

„...na chwilę obecną eksperci są zgodni. Za jednoczesną awarię stu pięćdziesięciu samolotów, z powodu której życie straciło niemal trzydzieści tysięcy ludzi, w tym dwieście osiemdziesięcioro pięcioro Polaków, odpowiada nagle osłabnięcie pola elektromagnetycznego Ziemi. Wszyscy, którzy nie muszą wychodzić na zewnątrz, powinni zostać w domach, aż do czasu, gdy naukowcom uda się ustalić natężenie promieniowania kosmicznego, które może uszkadzać tkanki żywych organizmów...”

„...a teraz: człowiek, który przyłapał Stwórcę na gorącym uczynku. Co o nim wiemy? Odkąd ogłosił swoje odkrycie, trzy razy próbowano go zabić. Teraz ukrywa się i kontaktuje ze światem tylko drogą elektroniczną. Był nazywany demonem i antychrystem, ale też zwykłym oszustem. A jednak jak dotąd nikomu nie udało się podważyć autentyczności jego zdjęć i nagrań. Wszystko wskazuje na to, że Radosław L. uwiecznił istotę, którą miliony wiernych nazywają archaniołem Gabrielem. Przywódcy największych religii świata proszą o spokój, a tymczasem Radosław wciąż powtarza, że na własne oczy widział, jak...”

„...są już wyniki analizy piasku znalezionego w pokoju, o którym mówi teraz cały świat. Choć trudno w to uwierzyć, badania wykazały, że rzeczywiście może on pochodzić z...”

„...szanowni państwo, rząd nadal nie ujawnił, w którym szpitalu znajduje się obecnie Izabela N., ale nareszcie udało nam się połączyć z jej rodzicami. Oddajemy głos jej ojcu:

– Izuniu, musisz zrozumieć. Od pierwszej sekundy, kiedy przyszłaś na świat, nie, nawet wcześniej, od pierwszego słodkiego momentu, kiedyśmy cię z mamą poczęli, wydawało się, że jest z nami ktoś jeszcze, ktoś obcy, ktoś trzeci. Że ktoś macza palce w tym naszym akcie, tak? No i ta obcość z nami została. Nie mogliśmy jej z siebie strząsnąć. Teraz już wiemy, kto z nami był, ale wcześniej nie wiedzieliśmy. I dlatego nie potrafiliśmy traktować cię...”

Plastikowy namiot zadrżał od poddmuchu wiatru.

Iza przymknęła oczy. Spodziewała się tego. Wiedziała, że anioł niedługo znów przybędzie. Że za chwilę padnie na nią blask, który z czasem stał się ciężki jak rentgenowski fartuch ochronny. Że znów będzie musiała stanąć do walki, choć całkiem opadła już z sił.

– To nie on, kochana – odezwał się szeleszczący, kobiecy głos tuż przy jej uchu.

Iza odwróciła głowę. Błękitne oczy, kolorowy strój. Jak ona się tu dostała?

– Straciłam wzrok sześćdziesiąt lat temu. Dotknęłaś mnie i... ha. Za coś takiego nie można się nie zrewanżować. Musiałam przyjść. Musiałam powiedzieć ci, co widzę. W pierwszej chwili wszędzie była jasność i dobro. Nie umiałam jej nazwać. Szłam za tobą, żeby ujrzeć cud. Ale cudu nie było, prawda? Nie było. Jasność przygasła, a ja wciąż patrzyłam. Jesteśmy połączone twoim dotknięciem.

Teraz widzę wokół ogromny mechanizm. Żyjemy w zabawce, w pozytywce, która była już u kresu swoich możliwości, u kresu funkcjonowania, której melodia cichła z każdą chwilą. Więc jej twórca wysunął dłoń, żeby ją nakręcić. Pozytywka tego wymaga. Co jakiś czas. Cyklicznie. Wsunął świetlisty klucz w otwór i zaczął pracę. Nie spodziewał się oporu, więc go nie zauważył. Albo zignorował. Umie tylko kręcić dalej, bo sam jest jak nakręcany. Bo twórca i dzieło są jednym, kochana. Więc kręci i kręci, i kręci, sprężyna napina się i napina, jej zwoje zacieśniają się coraz bardziej, a mechanizm już dawno powinien ruszyć... ale nie może. Jego elementy są przeciążone, przegrzane. Klekoce coraz głośniejsze, pęka w szwach. Jeszcze chwila, a całkiem się rozleci.

Iza próbowała coś powiedzieć, ale zamiast słów wyciekło z niej tylko westchnienie o smaku morfiny.

– Wiem, że cierpisz, kochana. Piorun pełga po tobie, strzela ci z palców, wypala cię, niszczy. Ale nie ze złej woli. Nigdy ze złej woli. Po prostu nie może się uziemić.

Na twarz staruszki wpłynął smutny uśmiech.

– Czy już nie czas pozwolić, żeby mechanizm ruszył dalej?

Plastikowe płachty rozjarzyły się bursztynową zapowiedzią blasku. Blask nadchodził. Był blisko. Znalazł ją. Staruszka nic już nie mówiła, słysząc tylko głosy ze świata.

„...tłum zebrał się na ulicach Warszawy, żeby wyrazić poparcie dla Izabeli N., przez wielu nazywanej Niezłomną. Jak państwo widzą, w innych miastach globu również odbywają się demonstracje. Pokazujemy tylko kilka z nich. Setki tysięcy ludzi udzielają Izabeli swojego poparcia w walce

z tym, co nazywają opresją i przymusem. W Warszawie za chwilę przemówić ma jej najbliższa przyjaciółka, która jako pierwsza zaczęła opowiadać jej historię.

...Izka! Jesteśmy z tobą! Wszystkie, wszyscy jesteśmy z tobą! Zrób, co uważasz! Na zawsze! Nikt cię nie pyta o zgodę, więc rób, co chcesz! A jeśli mnie słyszysz... jeśli jakimś cudem mnie słyszysz... zrobiłam to, Izka. Dałam radę. Rzuciłam... tego skurwysyna! Więcej mnie już nie dotknie”.

Iza leży na szpitalnym łóżku. Zamiast krwi krążą w niej leki. Zamiast świata widzi plastik.

Kiedy nareszcie pada na nią promień blasku, odkrywa, że wcale nie jest tak ciężki, jak się spodziewała.

*/// Jarek Westermark – debiutował w 2016 roku zbiorem *Opowiadania, które napisałem* (Nisza). Tłumaczy powieści, pisze opowiadania, wiersze i piosenki. Publikował m.in. w „Piśmie”, „Znaku”, „Przekroju”, „Elewatorze” i „Wizjach”. Lubi grać na harmonijce i malować figurki. W 2021 roku nakładem wydawnictwa Nisza ukazał się jego drugi zbiór – *10 opowiadań na krzyż*.*